Dodatek do Nr. 8 „Prawdy".

RODZINA
PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 4. Sobota, dnia 19-go lutego. Rok 1910.

MICHAŁ BAŁUCKI.

DZIECI JUSTYSI.

Pozwólcie, że was znowu prowadzę na ową drogę wysadzoną nadwiślańskiemi topolami, którą się idzie na cmentarz. Był czas, gdy dziwny urok miała dla mnie ta cienista aleja, wiążąca miasto żywych z siedzibą umarłych. Otóż chodząc tam dosyć często, spotykałem nieraz w dnie świąteczne i niedziele jakiegoś rzemieślnika z trojgiem dzieci, z których najstarsza dziewczynka mogła mieć lat sześć, a najmłodsze bobo, z wygiętemi w kabłąk nóżkami, widocznie od niedawna dopiero chodzić zaczęło. To też z niem było najwięcej kłopotu, dla niego wszyscy musieli iść powolnym bardzo krokiem, i zatrzymywać się co chwila; a gdy malec się rozbeczał, rzemieślnik brał go na rękę i niósł dalej, uspakajając płaczącego jak mógł i umiał: to huśtając go na rękach, to pokazując przelatujące ptaki, albo śpiewając jaką z owych piosenek, którémi piastunki dzieci do snu kołyszą. — Zabawnie było słuchać, jak dobierał do tego pisklíwych nosowych tonów, naśladując głos piastunek, a że niezawsze mu się udawało, nieraz więc z gardła jak z zepsutej piszczałki wyleciał gruby, naturalny głos. Gdy malec ukołysany śpiewkami, zasnął mocno i spuścił jasną główeczkę na piersi jego, wtedy szedł z nim ostrożnie, jak z jakim drogocennym przedmiotem, i dzieciom przykazywał oczyma, by się zachowywały cicho, sam bał się prawie oddychać.

Celem tych niedzielnych spacerów był cmentarz, a głównie jeden grób w kącie cmentarza, na którym sterczał prosty drewniany krzyż, a na nim niekształtnie wypisane było: Justysi — nic więcej, ani nazwiska, ani daty. Tym, którzy znali zmarłą, imię to zapewne wystarczało, będąc dla nich najmilszem przypomnieniem; dlatego też wypisano je zdrobniale, tak jak ją wołano za życia. Sam grób był z wielką starannością pielęgnowany, wyglądał jak maleńki ogródek; pełno na nim było kwiatów o każdej porze. Na wiosnę bratki, niezapominajki i róże otoczone grubemi listkami kwitnącego barwinku; w lecie płonęły róże wszelakich odcieni i lewkonie, a jesienią różnokolorowe astry, jak strzyżony aksamitny dywanik, grób ten okrywały. Nawet zimą zawsze po niedzieli i święcie można było widzieć grób ten zmieciony ze śniegu i ubrany w wieńce z mchu, w których zamiast kwiatów czerwieniły się głogi.

Rzemieślnik miał tylko w święta czas zajmować się upiększaniem grobu; to też wybierał się wtedy na całe popołudnie, z wszelkiemi do tego potrzebnemi przyborami. I on i dwoje starszych dzieci szli obładowani zawsze kwiatami, które kupował na Szczepańskim placu od ogrodniczek z Czarnej wsi; nieśli w koszykach garnczek do podlewania kwiatów, nożyczki do strzyżenia trawnika, kopaczkę i różne nasiona lub flance. Najmłodsze dziecko kładł wtedy ów rzemieślnik na trawniku między grobami, w cieniu jakiego drzewa, gdzie albo spało, albo bawiło się, a sam ze starszemi zajmował się przystrajaniem mogiły, chodząc koło niej z poszanowaniem i ostrożnie, jakby się bał obudzić Justysię.

Z zajęciem i upodobaniem przypatrywałem się nieraz tej robocie; rozrzewniała mnie taka pamięć o umarłej, w człowieku prostym i biednym. Domyślałem się, że zmarła musiała być żoną jego, że wczesną śmiercią osierociła tych troje dzieci, nad któremi on teraz rozciągał macierzyńską opiekę. Zdziwienie moje jednak było daleko większe, gdy się dowiedziałem, że nie był ojcem tych dzieci, że nie był nawet ich krewnym, że nie łączyło go z niemi nic prócz przywiązania, jakie żywił dla ich matki, kiedy jeszcze była panną.

Na imię jej było Justysia; ojciec był stróżem nocnym a matka praczką. Mieszkali blisko dworca; a że mieli izbę dużą, więc wynajmowali ją robotnikom od kolei. Jednym z lokatorów był właśnie ów rzemieślnik; Michał pracował w warsztatach kolejowych jako kowal. Justysia podobała mu się bardzo, bo też była dziewczyna niczego: wyrosła i gibka jak wiklina, włosy blond ze złotawym połyskiem a takie bujne, że splecione w warkocze pomieścić się nie mogły na głowie; oczy jej, śmiejące się figlarnie, kolorem przypominały bławatki. A co nadewszystko podobało się Michałowi, to ciało takie białe, a takie delikatne, że niejedna wielka pani pozazdrościćby jej mogła.

Dziewczyna nie kryła się bardzo ze swemi wdziękami; wstydliwość u ludzi tej klasy ma niecó obszerniejsze granice. Zresztą dziewczyna niewiele sobie robiła z tych zasmolonych robotników i bez zakłopotania krzątała się po izbie boso, w spódnicy i koszulce, która nie dość osłaniała jej ramiona białe i utoczone.

Michał siedząc wieczorami na swojem posłaniu i gryząc chleb z serem lub śledziem, co stanowiło je-

go wieczorny posiłek, patrzył nieraz na dziewczynę tak, że prawie oka z niej nie spuścił, czego ona jednak wcale nie uważała. Czasami zdobywał się na wyraźniejsze objawy swojego upodobania: to jej przynosił wodę do prania, to znowu w prezencie ukuł dla niej dwie dusze do żelazka.

Dziewczyna nie wiele okazywała mu za to wdzięczności, bo była przyzwyczajona do takich usług; zepsuta trochę nadskakiwaniem kawalerów — na weselach dobijano się z nią tańczyć — miała szczęście do ludzi, wyrywano ją sobie. I gdzież takiej dziewczynie chciało się uważać na zasmolonego kowala, zwłaszcza że był chłop wcale nie do zakochania, bo i niezgrabny, i twarz choć miał poczciwą, ale głupią, która jeszcze śmieszniejszą się wydawała, gdy ją skrzywił w chwili rozczulenia.

Stało się jednak raz tak, że Justysia zwróciła na niego uwagę. Było to w którąś niedzielę karnawału. Na Kleparzu był bal, na który Justysia gwałtem iść chciała, bo nie była nauczona wysiedzieć w domu. A tu jak na złość matka zaniemogła, a ojciec miał służbę. Samej pędzić taki kawał późnym wieczorem nie wypadało. Z robotników nie było nikogo, tylko Michał, który właśnie zabierał się do spania. Justysia nie wiele się namyślając, zaproponowała mu, czyby z nią nie poszedł.

Michałowi aż się gorąco zrobiło na tę propozycyę; jeszcze Justysia tak łaskawie nie zagadała do niego. Nie wiedział jednak, jak wygląda bal; przechodząc przez Kleparz, widział nieraz duże okna w hotelu Lwowskim rzęsiście oświetlone, po których migały się cienie tańcujących, ale nigdy nie przyszła mu myśl, żeby mógł się tam kiedy znajdować. Wydawało mu się to niepodobieństwem, aby biedny robotnik mógł pokazać się w takich wspaniałycu pokojach. Przechodziło to granice marzeń jego. To też, choć miał wielką ochotę spełnić życzenie Justysi, odezwał się nieśmiało z niedowierzaniem:

— Na bal, do hotelu Lwowskiego?

— Tak. Tam bywają także porządne osoby.

— Aleby mnie tam może nie puścili.

— Ciekawam dlaczego. Zapłaci pan Michał sobie bilet i puszczą.

— Kiedy ja nie tańczę.

— To się pan Michał będzie przypatrywał.

— A to tak można?

— Czemużby nie można było. A jak się pan Michał będzie nudził, to wróci do domu wcześniej. Znajdzie się taki, co mnie odprowadzi.

— Ale, cóżbym się to miał nudzić? Zaczekam choćby do rana.

— No, więc jazda! — zawołała wesoło i zaczęła się szybko ubierać.

Michał także wziął się do ubierania; ale mu nie szło tak łatwo. Nie wiedział, co wdziać na siebie; szukał w kuferku co miał najlepszego: najczystszej koszuli, najpiękniejszej chustki na szyję i co chwila stawał przed Justysią radzić się.

— Cóż? Jakże panna Justysia myśli, będzie to dobre?

— Ale dobre, dobre; tylko spiesz się pan Michał, bo już po dziesiątej.

— Duchem będę gotów. Pieronem panno Justysiu.

Ale to „pieronem" trwało przeszło pół godziny, bo najprzód musiał wyszorować zasmoloną twarz mydłem, czesanie czupryny także mu niemało czasu zajęło, a najdłużej zabawił się przy czyszczeniu pomiętej garderoby swojej. Wszystko leżało na nim niezgrabnie, pociesznie. Kamizelka za krótka spodnie za szerokie a surdut fałdował się na plecach i wyglądał jakby ze starszego brata. Jemu jednak zdawało się, że ustroił się Bóg wie jak paradnie.

Justysia nie zwracała na niego wcale uwagi, zajęta własnem ubieraniem; na wszystkie zapytania jego odpowiadała, nie patrząc nawet, że dobrze, bo jej wcale nie chodziło o to, jak będzie wyglądał, tylko żeby ją miał kto zaprowadzić na ów bal; samej iść „byłoby nie na miejscu", jak mówiła.

Przed wyjściem z domu przejrzała się jeszcze w małem lusterku, wpięła w warkocze kawałek kwitnącej gieranii, zarzuciła na niebieską sukienkę z falbankami lekką chustkę i rzekła:

— No, chodźmy.

Noc była ciemna, mglista, a zmarznięta ziemia oślizgła trochę. Mimo to dziewczyna biegła tak szybko drobnym krokiem, że Michał z trudnością mógł zdążyć za nią. Trudniej mu jeszcze było, idąc tak szybko, rozmawiać z nią.

— Więc wiele to panna Justysia powiada trzeba dać za bilet?

— Pięćdziesiąt krajcarów.

— Za jednę osobę; no, a za pannę drugie pięćdziesiąt.

— My, damy, nie płacimy wcale.

— Tak?

Michałowi przyszło zaraz na myśl, że za te pieniądze, które gotów był zapłacić za nią, będzie jej mógł urządzić poczęstunek jaki: kilka kufelków piwa a może i pomarańczę.

Kiedy przechodzili przez plant kolejowy, budnik poznał Michała i zapytał go:

— A ty gdzie się po nocy wybrałeś?

— My idziemy na bal — odrzekł Michał z dumą i wskazał głową na idącą przed nim Justysię.

— A, to twoja — rzekł budnik półgłosem.

Słowa te pogłaskały Michała po sercu; chciał jeszcze coś zagadać do budnika, ale niecierpliwa Justysia zawołała na niego, by szedł prędzej. Przyspieszył kroku, ale w uszach i sercu został mu ten wyraz „twoja". Było to niejako urzędowe uznanie go za narzeczonego, i w tym charakterze uważał siebie odtąd. Nie mógł przypuścić, żeby i Justysia tak go nie uważała, bo dlaczegożby chciała iść z nim na ten bal.

Kiedy doszli do hotelu, przed którym błyszczał w transparencie kolorowy napis: „Bal towarzyski", Michałowi aż się gorąco zrobiło ze wzruszenia. Z bijącem sercem wchodził na schody oświecone, po których snuli się goście balowi obojej płci. Byli to przeważnie kelnerzy, lokaje, żołnierze, kucharki i pokojówki. Michałowi jednak imponowały stroje i osoby; białe krawaty i bawełniane rękawiczki, jako też perkalikowe i muszlinowe suknie olśniewały go elegancyą i pańskością; nigdy jeszcze nie znajdował się w towarzystwie tak wystrojonych osób. To go tak odurzyło, że idąc po schodach, potykał się co chwila i deptał po sukni Justysi, za co dostał od niej kilka niebardzo pochlebnych przezwisk. Kiedy stanęli przed drzwiami, przy których sprzedawano bilety, kazała mu kupić sobie jeden, potem rzuciła mu chustkę swoją na ręce do potrzymania.

— Jakbyś pan nie chciał być do końca — rzekła — to mi oddasz chustkę, rozumiesz.

— A! gdzieżbym zaś nie miał być do końca. Będę.

Justysia nie słyszała już tego, bo weszła do sali i zaraz przy wejściu obskoczyło ją kilku lokajów w białych krawatach, i porwano ją do tańca. (C. d. n.)

SERCE DZIECKA.

Serce człowieka należy urabiać od samego dzieciństwa. Wychowanie serca wymaga, tak jak wychowanie rośliny, umiejętności, oraz ciągłej pieczołowitości. Jabłonka n. p., rodząca owoce cierpkie, gdy zostanie przesadzona w ziemię lepszą, wyda owoce wyborne; tak samo serce dziecka ze złemi skłonnościami wyda cnoty, jeśli dostanie się pod kierunek mądrego i szlachetnego wychowania.

Któż z rodziców nie pragnąłby, aby wszyscy ich dzieci kochali? niechże tedy rodzice starają się, aby dzieci zasługiwały rzeczywiście na tę miłość u wszystkich.

Bywają osoby, których towarzystwa każdy chętnie poszukuje; bywają i takie, od których wszyscy się usuwają. Czy pierwsi są obdarzeni od natury większemi przymiotami umysłu? czy talent ich wyróżnia? czy uroda zaleca?

Bynajmniej. Najczęściej tajemnica ich towarzyskiego uroku leży w wychowaniu, jakie otrzymali w dzieciństwie; najczęściej bezwiednie nęcą oni sercem, które rodzice lub wychowawcy odpowiednio wykształcili.

Chcąc aby dziecko w późniejszem życiu odznaczało się towarzyską uprzejmością, należy od wczesnych lat przyuczać je do wdzięczności za każdą wyświadczoną mu przysługę lub przyjemność. Nasamprzód niech się ta wdzięczność objawi w zwykłem wyrażeniu „Bóg zapłać" lub „dziękuję"; z czasem dziecko dźwięk tego wyrażenia odczuje i w sercu. Należy przyzwyczajać dzieci do okazywania i wyrażania wdzięczności, gdyż każdy „dobry obyczaj" staje się dla późniejszego życia dobrodziejstwem. Z początku dziecko powie wtedy tylko „Bóg zapłać" lub „dziękuję", gdy mu każą; powoli jednak wyraz ten zbudzi w sercu dziecka uczucie, tak, że za każdą odebraną przysługę lub przyjemność poczuje w sercu wdzięczność. W ten sposób dziecko nauczy się być wdzięcznem matce, babce, lub służącej, które krzątają się koło jego osoby, później wdzięczne będzie tym, którzy je pouczają, jako i tym, którzy je obdarzają; a tak ten prosty zwyczaj dziękowania wprowadzi duszę dziecka w tę atmosferę miłości powszechnej, która nie zna różnic stanowych lub majątkowych, ale zna jedynie cnoty i zasługi.

Rodzice winni także przyzwyczajać dzieci do ustępstw i zgody z ich małymi towarzyszami. Charakter dziecka na takiej gotowości do ustępstw bynajmniej nie ucierpi; dziecko powino umieć ustąpić i nie wymagać od innych poddania się jego zachceniom.

Z takich dzieci zgodnych wyrastają zgodni mężowie i żony, zgodni ojcowie i matki rodzin — a duch zgody więcej znaczy w życiu rodzinnem niźli duch chwilowego nawet bohaterstwa, gotowy nieraz do wielkich czynów poświęcenia. — Zresztą, i duch zgody rodzi często czyny bohaterstwa. Kto w drobnych rzeczach umie zgodnie ustąpić, kto potrafi poświęcić dla zgody osobiste swe zadowolenie, ten zazwyczaj staje się nieugiętym bohaterem, gdy sumienie nie pozwala mu odstąpić od obowiązku; przeciwnie, ludzie nieugięci w osobistych uprzedzeniach, w sprawach sumienia i honoru zwykle miękną i łamią się.

Tysiące jest sposobów uszlachetnienia serca, tego istotnego źródła życia. Niech n. p. dziecko od najmłodszego wieku uczy się bawić razem z dziećmi uboższemi, niech im użycza swych zabawek, niech się dzieli z niemi przysmakami — a z pewnością nie wyrośnie z niego samolub.

A przecież samolubstwo, które za boga ma swoje wasne ja niszczy powoli wszelkie szlachetniejsze skłonności, tak jak robak ukryty w jednym kawałku drzewa, powoli zniszczy cały budynek.

Ileż to ludzi zatopiło dusze swe w samolubstwie, które kazało im zamknąć oczy i serce na niedolę ludzką, na losy społeczeństw i narodów! Natomiast żadna niedola nie ukryje się przed człowiekiem, który nauczył się swoje ja stawiać na ostatnim planie.

RADY ZDROWOTNE.

Ochędóstwo ciała, podstawą zdrowia.

Zasadniczą cechą kuracyi wiosennej jest czystość i pielęgnowanie skóry, do czego nie potrzeba ani zachwalanych w gazetach różnych esencyi, maści i proszków, które przy dłuższem używaniu raczej szkodzą niż pomagają, ani żadnych nadzwyczajnych przygotowań. Czysta woda i mydło są najpewniejszym środkiem do utrzymania odporności i piękności skóry. Oczyszczając ją z osiadłego kurzu, zamienionego przez wyziewy skórne w brud i otwierając zasklepione pory, ułatwiają tem samem i pobudzają swobodny ruch krwi.

Do osiągnięcia wspomnianego skutku przyczyniają się szczególniej zimne obmywania, które, rozumie się, nie powinny być ograniczone tylko na twarz i ręce, gdyż cała powierzchnia ciała powinna współdziałać ku utrzymaniu równomiernej ciepłoty, do czego niezbędnym czynnikiem okazuje się regularne doprowadzanie krwi do skóry. Również i odzież odgrywa w tym wypadku ważną rolę i nie powinna nigdy być cieplejszą, niż tego pora roku wymaga; a że tylko czysta odzież może utrzymać ciało w czystości, o tem przekonywać nikogo nie potrzeba. Zrozumiał to bystry a inteligentny naród japoński, hołdując oddawna tym zasadom i który wytworzył sobie, że tak powiem, kult utrzymania ciała w czystości.

Czystość skóry niezbędną jest choćby dla tego, ażeby zapobiedz zasklepianiu się porów, a tem samem nie utrudniać wyziewów skórnych. Przytem wszelkie chorotwórcze i zakaźne bakterye, bacyle i t. p. żyjątka nigdzie nie zakładają chętniej siedliska, niż na nieczystem ciele. Często słyszeć się daje, że przez zakłócie się jakimś starym gwoździem lub innem narzędziem, skaleczony dostał zakażenia krwi; przytem równie często bezpośrednim winowajcą mógł być gwóźdź, jak i znajdujące się na skórze bakterye, zagarnięte przy zakłóciu i wszczepione w krew.

Ochędóstwo odzieży i czystość własnego ciała są więc najskuteczniejszymi rzecznikami zdrowia, pewniejszymi częstokroć, niż różne medykamenty, do których ucieka się zwykle zbyt późno, albo nie w porę. Czem gruntowniej i częściej na czystość ciała baczyć się będzie, tem lepiej i pożyteczniej

jest to dla zdrowia. Kąpiele i łaźnie znajdują się obecnie prawie we wszystkich miejscowościach, a gdzie ich nie ma, to należy starać się usilnie o ich zaprowadzenie. Ale nawet i tam, gdzie założenie łaźni przeprowadzić się nie da, można przy dobrej woli zadosyćuczynić potrzebom czystości, nawet w czasie najsurowszej zimy; wystarczy proste naczynie z wodą i ręcznik, ażeby przed udawaniem się na spoczynek wytrzeć się na mokro. Komu więc miłe zdrowie i rzeźkość, niechaj spróbuje — dodatnie skutki okażą się niezawodnie.

O szkodliwych skutkach papierosów.

rozpisał się przed kilku laty dr. Breiting w pewnem piśmie lekarskiem, opierając się na swych długoletnich doświadczeniach i spostrzeżeniach. Przedewszystkiem w ostatnich latach poznał on dokładnie papieros i nauczył się bać jego złych skutków. Niebezpieczeństwo zawiera się w tem, że, choć pojedynczy papieros nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, silnie pobudza palącego do nadużywania. Palacze — mężczyzni jak i kobiety — palą zwykle przez cały dzień, są stygmatyzowani; można ich natychmiast poznać, skoro wzrok tylko cokolwiek wyćwiczony, po osobliwem żółtawem zabarwieniu paznokci. Kto ma sposobność obcowania z rosyjską arystokracyą, to może zrobić pod tym względem ciekawe spostrzeżenia. U Rosyan doszedł papieros do wszechstronnego panowania i dziwnym sposobem właśnie rosyjskie papierosy zdają się oddziaływać najsilniej. U palaczy zauważyć można prawie bez wyjątku słabe, a bardzo często nieregularne bicie serca, jakoteż skłonność do bezsenności, dalej zaburzenia w trawieniu, a niekiedy także i przewłóczny nieżyt (katar) nosowogardłowy, nieżyt spojówki i osłabiony wzrok. Jakże często na pytanie: „pali pan?“ otrzymuje się odpowiedź: „owszem, ale tylko papierosy“. Dla Breitinga jest prawdą nie do obalenia, że każdy papieros a szczególnie rosyjski niszczy jedno włókienko sercowe. — Podobno cesarzowa rosyjska palenia wzbroniła damom dworskim. Zakaz ten pojąć można, wiedząc, że w Rosyi palenie u kobiet w tym samym stopniu jest rozpowszechnione, co i u mężczyzn. Palenie bowiem nie jest tam tylko przywilejem dam z arystokracyi, bo w Rosyi pali żona tak izwoszczyka (dorożkarza) jak mużyka i kupca, pali żona urzędnika jakoteż lekarza i adwokata — jednem słowem, wszystkie kobiety palą. — Szkodliwie oddziałują papierosy w każdym wypadku, przedewszystkiem u dzieci i u młodych ludzi — męskiej młodzieży i u dziewczyn!

Luźne uwagi.

Dotąd Polki słynął z wdzięków i rozumu, nie jeden cudzoziemiec hołd im ten oddał w dziełach swotralną pięknością, i dać światu dowód tej miłości ku ojczyźnie, którą tak słusznie słyną Polacy. Jeźli, jak mówią zagraniczni pisarze, przyrodzenie nie mniej dla nas było hojne, jak dla kobiet innych narodów, umiejmy korzystać z jego wspaniałości; jeźli podobne do niewiast innych krajów, wyrównać im w powabach możemy, bierzmy ich przymioty, a wad nie naśladujmy Użyjmy darów naszych na podniesienie chwały lubej Polski! Kiedy jej Niebo odmawia politycznego znaczenia, przyłóżmy się, aby ta ukochana kraina, doszła do moralnej wysokości! Przejmijmy się naprzód na wzór innych niewiast, miłością narodowego języka; sam z siebie piękny, brzmi wdzięczniej w ustach naszych, i mocniej serce dotyka; nie mniej jest miły Niebu w gorących modłach, rozumieją go cienie prababek w krainie błogosławionych. Porzućmy obcy, a często szkodliwy dla naszej moralności, dla ducha narodowego, dla ojczystej literatury języka. Czemuż inne narody szczycą się tylu płodami rozumu? czemuż jaśnieją tak wysoko posuniętą oświatą? bo w tych krainach wszystkie kobiety troskliwe o sławę narodu, dbałe o szacunek współziomków, zawsze tylko rodowitym mówią i piszą językiem, a kiedy się uczą obcych, to tyle tylko, aby je rozumieć mogły.

Mniej prawda znaczą kobiety od mężczyzn, ale jednak wielki wpływ mają, na obyczaje, literaturę i wielkość narodu. Czemuż za czasów Jagielońskich kiedy uczeni Polacy, chcąc być sławnymi u obcych, pisali po łacinie, czemu nie zaginął język polski? Jakim cudem Rej z Nagłowic, i Kochanowski, po tak długiem zaniedbaniu, zdatnym go do wiersza znaleźli? czemuż do dzisiejszego dnia dzieła Jana Kochanowskiego lubo w wieku łaciny pisane, wzorem są polszczyzny? najpewniej to dlatego, że Polki ówczesne, nieuwiedzione blaskiem cudzoziemczyzny, narodowym tylko językiem mówiły. Każdy Polak na obradach publicznych, za granicą, w pismach swoich: obcą to jest łacińską, się tłómaczył mową, ale wróciwszy do domowej zagrody, z żoną, z córkami, ojczystą rozmawiał, i słodkich uczuć serca tłómaczyć w niej nie zapomniał. Teraz przeciwnie się dzieje: mąż z żoną, z dziećmi w obcym języku rozmawia; matki szczycą się z córek, kiedy je słyszą obcym mówiące językiem!

Polki uczyły się tylko języków w celu oświecenia się, a nie w celu próżnej chełpliwości, gdyby dla tego ojczysty najpierwej i najlepiej znały, nie można by mieć nic przeciw obcym mowom; lecz dziś gdy powszechną się staje zaraza, wielkie tylko przykłady wykorzenić ją mogą. Wszak Polkom miłość kraju jest wrodzona, wszak dla jego obrony, nieraz matka wysyłała syna, żona uzbrajała męża, siostra brata; żadna ofiara nie była wielką, kiedy szło o sławę rodzinnej ziemi. Czemuż zdoławszy gwałt uczynić dla ojczyzny najdroższym serca uczuciom, nie miałyby Polki dla jej, i własnego dobra poświęcić głupiego przesądu, że obcy język piękniejszy jest od ojczystego?

O niewiasty polskie! Dajcie ten dowód miłości rodzinnej swej ziemi. Zachęcajcie do podobnego postępowania rówiennice swoje! Należąc do tej szlachetnej zmowy, zjednacie sobie na wieki chlubną sławę; wasze usiłowania, wasza gorliwość, szacunkiem współziomków będą nagrodzone. Wielbić was będzie potomność jako drugie westalki; czcić jak kapłanki stróże, niedające zgasić owego ognia, który się w żyłach waszych pradziadów rozszerzał, a który się płomieniem waszych cnót narodowych na nowo rozniecił!

Nakładem redakcyi „Prawdy“. Kraków. — Czcionkami „Katolika“, spólki wyd. z ogr. odp.. Bytom.